

# Procesy artystyczne

Marek Sołtysik

## SZLIFBRUK W „ANANASIE” (cz. 1)

### Śmiercionośna edukacja

Do jej występu pozostał niecały kwadrans. Myślała: „Zdążyć”. Wracła do teatru rewiewego „Ananas” do cna umordowana, z potarganymi włosami, ale na szczęście już z makijażem. Powie, że od południa przez siedem godzin bez odpoczynku pozowała fotografowi. Do garderoby wpadła z wynajętym posługaczem, który niósł za nią walizę ze strojami z przedstawień.

W wysokie buty i w kozacką czapkę albo w prawie nic – czyli w imitujące stare zło- to zmyślne esy-floresy na piersi, pępku i tak dalej – przebierała się za zasłonami, licznymi w atelier, w zapachu pudru, kurzu i perfum. Pozowała. Nie tak, może trochę bardziej nóż- ka w lewo... Hm, fotograf żądał sztucznych wygibasów od niej, zawodowej baleriny, Igi

Korczyńskiej... Tak nie można. Ale mniejsza. Czy właśnie tego dnia, czy może jednak trochę wcześniej pozowała do tych zdjęć?<sup>1</sup> Tajemnica. Jest 6 sierpnia 1931. Fotosy, niezbędne dla reklamy rewii w teatrze „Ananas” (Warszawa, róg Złotej, ul. Marszałkowska 114) i dla niej samej, do profesjonalnego albumu, mają być gotowe za tydzień. A teraz występ. Znowu się trzeba przebrać. Odprawiła tragarza, otworzyła walizę ze strojami, żeby wybrać właściwy, zwiewny – i w jednej chwili straciła poczucie ładu. Do garderoby bowiem wpadł, odepchnąwszy biletera, jej prześladowca, człowiek, dla którego tutaj nie było już miejsca, przystojny niby wykwi-ntniś, groźny mężczyzna, jeszcze do nie- dawna, jak śmiał twierdzić, jej narzeczony.

<sup>1</sup> Nie można dawać wiary każdemu doniesieniu prasowemu, zwłaszcza odosobnionemu, a w sytuacji bezpowrot- nie utraconych akt śledztwa policyjnego nie można mieć stuprocentowej pewności, że właśnie wtedy Iga Korczyń- ska pozowała fotografowi. Że 6 sierpnia prawie cały dzień spędziła w atelier. (Jej zdjęcia, pozowane na sytuacyjne, zachowały się, ale bez daty dziennej). To oczywiście domniemanie na użytek rekonstrukcji, ale czy nie było możliwe „wypożyczenie” – za zgodą lub nawet bez zgody dyrekcji „Ananasa” – modnej i pięknej, świetnej tancerki, nie da się ukryć, erotycznej, na jakąś specjalną okazję i dla specjalnej publiczności? Uczestnikom XXIII Międzynarodowego Kongresu Anatomów, który się odbywał właśnie w Warszawie, przecież nie wypadało się afiszować po teatrykach rewiewych i tancbudach w tej części Warszawy, w której wówczas kwitło życie towarzyskie i seksualne za pienią- dze. O ileż przyjemniej zobaczyć występ w apartamencie wytornego hotelu. Makijaż, owszem, mógł być robiony w związku z fotografiami. Ale włosy w nieładzie? Opisany dzień był w Warszawie bezwietrzny. Od 4 do 7 sierpnia w 1931 stolica przyjmowała licznych gości: oprócz stu piętnastu uczestników wspomnianego Kongresu Anatomów bawili tam Kawalerowie Maltańscy, podejmujący przybyłego z oficjalną wizytą swego Wielkiego Mistrza Ludwika de Chigi-Albani della Rovere, oraz grupa ekonomistów amerykańskich, gości Izby Handlowej Polsko-Amerykańskiej.

Westchnęła. Ten pan, który nie powinien się już więcej pojawić w jej życiu, zadawał natrętne, niestosowne pytania. To on, znów, Zachariasz Drożyński, najwyraźniej w stanie wzburzenia, wypomadowany i bez zajęcia, wymachujący gazetą, a gdy ją odrzucił, rewolwerem.

Kto go tu wpuścił? Aha, siedział w korytarzu przez półtorej godziny, czekał na nią, jak niegdyś. Wtargnął bez pozwolenia, gdy ją zobaczył. Przecież musiał. Hm, na psa urok, znów... towarzyski.

– Ale odkąd cię znam – nie przestawał patrzeć na nią jak na swoją własność – nie zdarzyło ci się aż takie spóźnienie.

– Nie twoja sprawa. To sprawa dyrektora teatrzyku – odpowiedziała od niechcienia. Nie będzie się tłumaczyć byłemu narzeczonemu, że była tu, a może tam, na polecenie szefa.

– Gdzie to chodziłaś umalowana jak na scenę?

– Przepraszam, muszę się przebrać. Nie mam czasu. Proszę stąd wyjść, bo zadzwonię na biletera!

– Milczeć! Nie musisz mówić! Wiem, że spotykasz się z tym Adamskim, wielbicielem twojego... talentu. Gdzieś ty go poznała, jak nie na ulicy, co?

– Nie muszę się tłumaczyć przed byle kim! – Iga sięgała do dzwonka i w tym samym momencie ciszę przeciął huk dwóch wystrzałów. Drożyński wymierzył z rewolweru dokładnie w obie piersi byleż narzeczonej. Na wylot. Upadła, rażona pociskami, na stroje wysypujące się z walizy. Nie straciła przytomności. – Ratujcie mnie – raz tylko szepnęła – duszę się!

Napastnik, rozejrzawszy się bystro, strzelił do siebie. Zranił się powierzchownie w lewy bark, mocno krwawiąc, zdołał rozchełstać koszulę, żeby było widać, że broczy, i zanim w drzwiach pojawili się pracownicy teatru oraz zaalarmowany strzałami policjant, ułożył się na podłodze i zamknął oczy. Czy udawał nieprzytomnego, czy wpadł w otchłań strachu? Czy może istotnie na chwilę stracił świadomość? I w to nie można wątpić. Zawezwany natychmiast wywiadowca policji Błaszek, świadek telefonicznego wezwania pogotowia, w rozmowie z dyrektorem „Ananasa” Jastrzębcem-Rudnickim, obejrzawszy leżącego Drożyńskiego, zauważył: – To jest trup i trzeba go specjalną sanitarką przewieźć do prosektorium.

Na te słowa Drożyński się poruszył. „Ożył”.

W mig przyjechały karetki pogotowia ratunkowego. Do jednej przeniesiono Igę Korczyńską, która dawała znaki życia, do drugiej Drożyńskiego, któremu lekarz opatrzył silnie krwawiącą ranę.

Dwudziestoletniej artystki nie udało się uratować. Zmarła wkrótce w szpitalu Dzieciątka Jezus. Dwudziestosześcioletniego jej zabójcę przetransportowano z tego samego szpitala prosto do celi więziennej. Nic mu takiego nie było.

Jadwiga Wielgusówna to właściwe nazwisko ofiary. Pochodziła z rodziny rzemieślniczej. Mieszkała na zapuszczonym wówczas Starym Mieście z ojcem, Janem Wielgusem, szewcem<sup>2</sup>, i matką Michaliną. Brat, policjant, mieszkał osobno. Co najmniej od szesnastego roku życia zarabiała na siebie, występując na scenach i estradach stołecznych i prowincjonalnych,

<sup>2</sup> Z jednej plotki lawina przekłamań! To w nawiązaniu do przypisu 1. – nie można bezkrytycznie podchodzić do rewelacji prasowych. Henryk Liński (właściwie Henryk Lichtensztejn), autor tekstów piosenek, krytyk teatralny i dziennikarz, tuż przed rozprawą sądową w sprawie zbrodni w teatrzyku „Ananas” poproszony przez redakcję „Tajnego Detektywa” o nakreślenie barwnego portretu zamordowanej Igi Korczyńskiej, na poczekaniu wymyślił rzewną historyjkę o niej jako o dziewczynce spod Otwocka, osieroconej przez ojca, która jakimś cudem uczyła się w szkole baletowej przy Teatrze Wielkim i od siedemnastego roku życia tańcem utrzymywała rodzinę: matkę i nieuleczalnie chorą siostrę [„Tajny Detektyw” nr 17 (24 kwietnia) i 18, 24 (1 maja) 1932]. Kłamstwo jednak ma krótkie nogi. Liński robił to, czego od niego oczekiwano: koloryzował. Przypisał nawet Korczyńskiej odmowę na propozycję angażu od samego Sergiusza Diagilewa! Gorzej, że na rewelacjach Lińskiego opierają się współcześni autorzy tekstów dotyczących tragicznego wydarzenia i dowierzają raczej fantazjom tego twórcy poczytnych kryminalów niż zdjęciom ze zbiorów Narodowego Archiwum Fotograficznego oraz z prasy z epoki, na których widnieje obecny w sądzie 1 maja 1932, oczywiście żyjący ojciec zamordowanej, insynuując, że podpisujący zdjęcie popełnił błąd ([http://tajnydetektyw.blogspot.com/2015/11/krew-w-ananasiu-czyli-dziewczynka\\_22.html](http://tajnydetektyw.blogspot.com/2015/11/krew-w-ananasiu-czyli-dziewczynka_22.html) – dostęp 10 stycznia 2017). Plotkę rozpowszechnia

zarabiała więcej niż dobrze jak na ówczesne warunki, w domu łożyła na utrzymanie. Z wypowiedzi osób, które ją znały na co dzień, wiadomo, że była uczciwa, skromna, a jednym z efektów jej zainteresowań literaturą i sztuką była umiejętność prowadzenia rozmów nie tylko o dniu powszednim. Doskonale warsztat taneczny i wokalny, pewnie oddałaby się bez reszty sztuce, gdyby nie mężczyźni. Nie będąc kokietką, poza wrodzonym, powiedzmy, urokiem, jaki roztaczała, może także czystością przyciągała panów koneserów jak magnes. Dysponowała świetnymi warunkami scenicznymi, tańczyła podobno już jako mała dziewczynka; brunetka o smągłej cerze, z przewiśkiem Czarna, rozgrzewała męską publiczność uwodzicielskimi tańcami w ubiorach najczęściej tylko symbolicznych, ale nic z tych rzeczy, matka wyczekiwała przed teatrem, żeby córkę odprowadzać po spektaklu do domu.

Działo się tak do czasu pojawienia się „poważnego narzeczonego”. Gdy o względy tancerki począł się starać z zaciętym uporem Zachariasz Drożyński, człowiek, który właśnie rzucił studia, bez posady, ale zawsze dobrze ubrany i zadbany, Iga miała szesnaście lat i osiem miesięcy. Stało się; była zbyt młoda i niedoświadczona na to, by ją mogła razić płytka elokwencja adoratora. Odbierał jej każdą wolną chwilę – zapewniał o swojej miłości, niebawem stał się jej pierwszym mężczyzną. Tryumfował, a ona zaszła w ciążę. Odtąd również pochyła. Pooszo! Dawał jej jakieś proszki, zabraniał mówić komukolwiek o tej sprawie, na jego żądanie poszła spędzić płód. Za swoje pieniądze, zarobione w teatrze. On przecież nie miał. Miał natomiast czelność zerwać jej z palca pierścionek, prezent od poprzedniego wielbi-

ciela jej talentu, liczącego na bliższą znajomość. Drożyński korzystał z fundowanych przez nią przejażdżek; to oczywiście on miał płacić, ale tak doskonale wypracował sobie gest: – O, na Rany Chrystusa, zapomniałem pugilaresu! – że każdy taksówkarz wyga, każdy dorożkarz i kelner nie mieli podstaw, żeby widzieć w młodzianie naciągacza wykorzystującego to prawie dziecko.

Prawie dziecko tymczasem robiło w domu porządki, angażowało w to matkę, ogłaszając, że ten młody Drożyński, o którego zamiarach matka wie, zapowiedział się na jutro z wizytą. Porządki zrobione, bieje obrus, na nim wyciągnięty z komody serwis do kawy z lepszych czasów, firanki świeżo pachną krochmaleniem i wiatrem, narzeczony nie przyszedł, można się tylko pocieszać, że przynajmniej podłogi lśnią. I tak w kółko: jemu wolno wszystko, jej – prawie nic. On tu rządzi. On przed wyplatą w teatrze już kręci się koło Igi pod kasą. Matka, widząc, co się dzieje, zaczepia Drożyńskiego na ulicy, bo gdzie indziej jest on nieuchwytny. Jego okazywane jej lekceważenie – bezgraniczne. Jego beczelność... Ale poczekajmy; od chwili, gdy zabił, minęło prawie dziewięć miesięcy, i teraz, 27 kwietnia 1932, oskarżonego wiozą pod eskortą z więzienia na Pawiaku do Sądu Okręgowego w Warszawie.

Do gmachu sądu zmierzają wolni artyści nie tylko rewiowi, idą także ludzie ze świata aktorskiego; wielu z nich będzie zeznawać w charakterze świadków. Szepty publikli: – O, Bukojemska! O, panna Gabrielli! O, Skwierczyńska, Oho-ho, Niemirzanka! Jest także dyrektor „Kameleona”, pan Wojciechowski, no i niemal cały zespół teatryku „Nowy Ananas”<sup>3</sup>. Dziennikarze już sobie notują, powiedzmy, na przykład: Mamy upał, który wprost trudno

nieświadomie artykuł autorstwa Jerzego S. Majewskiego *Tutaj zastrzelono znaną tancerkę. Padła brocząc w krwi* [chyba krwią? – M. S.], zamieszczony 28 października 2012 w „Gazecie Wyborczej” ([http://warszawa.wyborcza.pl/warszawa/1,34889,12741477,Tutaj\\_zastrzelono\\_znana\\_tancerke\\_Padla\\_broczac\\_w.html](http://warszawa.wyborcza.pl/warszawa/1,34889,12741477,Tutaj_zastrzelono_znana_tancerke_Padla_broczac_w.html) – dostęp 19 stycznia 2017). Autor zawie-rzył informacjom zawartym w publikacji z ambicjami naukowymi. Chodzi o cytowaną przezeń i przy okazji zachwalaną książkę Moniki Piątkowskiej *Życie przestępcze w przedwojennej Polsce*, wydaną w 2012 nakładem Wydawnictwa Naukowego PWN [sic!], w której autorka przytacza zmyślenia Lińskiego jako wydarzenia autentyczne! Jeszcze gorzej, że o tragedii znakomitej tancerki pisze w rozdziale *Tajemne życie fordanserek*, który dotyczy prostytucji!...

<sup>3</sup> Główną atrakcją przyciągającą publiczność i przysparzającą kasy teatrowi rewiowemu „Ananas” były występy taneczne i wokalne Igi Korczyńskiej. Po tragicznym odejściu gwiazdki teatr gwałtownie podupadł. Żeby utrzymać

wiązać z wiosną, upał jak wtedy, 6 sierpnia, kiedy w dusznej atmosferze gorącego lata, w kanikułowej aurze wydarzyła się ta tragedia... Dokończą później, tuż przed oddaniem tekstu do druku lub w czasie dyktowania przez telefon, teraz nie kryją zdumienia na widok oskarżonego w granatowym garniturze prosto spod igły, w nieskazitelnie białej koszuli i chusteczce wytwornie udrapowanej w butonierce, modnie ostrzyżonego, i po którym nic a nic nie widać trzech kwartałów w więziennej celi. No, może twarz, wprawdzie z uśmiechem, tak, tak, przyklejonym, jakaś pomięta, pozamykana dla innych. Można powiedzieć: fordanser.

„Twarz skurczona, jakby złośliwa” – określi obrazowo dziennikarz „Ilkaca”.

Generalia: dwadzieścia siedem lat, mieszka w Warszawie, ukończył szkołę średnią, kawaler.

Oskarżony wrusza ramionami, gdy przewodniczący składu sędziowskiego Klemens Hermanowski pyta go o zawód. Cóż, pracował niegdyś kolejno w kilku instytucjach, tak, tak, również w urzędach państwowych, w charakterze biuralisty. Czy był karany? Odpowiada w zakłopotaniu, że wyrokiem Sądu Okręgowego został ukarany sześciomiesięcznym więzieniem za uchylanie się od służby wojskowej, ale obecnie, już w więzieniu, wniósł przez swego obrońcę apelację przeciw wyrokowi.

Przyznaje się do winy.

Nie miał pozwolenia na broń, ale zawsze (z wyjątkiem blisko trzytygodniowej, jak zeznał, przerwy) nosił przy sobie rewolwer. Jaki? – „Piątka” z fabryki „National”. Na pytanie przewodniczącego, czy zamierzał zastrzelić Ięgę Korczyńską, odpowiada oczywiście: – Nie zabija się osoby, którą się kocha.

– Czy w trakcie strzelania oskarżony uważał się za narzeczonego, czy wcześniej już było zerwanie?

– Na miesiąc przed zabójstwem doszło do zerwania, ale uczucie, jakie do niej żywiłem, nie umarło i to było moją tragedią...

Mówi o rozczarowaniu. Twierdzi, że przez cztery lata zażyłości robił wiele, by uczynić z niej damę z towarzystwa i że choć się zawiódł, to jednak w chwili rozstania oświadczył jej, że ze względu na długotrwały stosunek oczekuje od niej postępowania, które nie spowoduje ujmy na jego honorze. Po zerwaniu – choć wie, że to nie po męsku – szpiegował byłą narzeczoną. Kiedy zaobserwował wyczekującego dzień w dzień pod teatrem mężczyznę, na którego ukłon po skończonym przedstawieniu tancerka odpowiedziała wprawdzie dopiero za czwartym razem – ale jednak odpowiedziała – odniósł wrażenie, że „zerwanie nastąpiło z powodu innego mężczyzny”. Zwłaszcza że w tydzień po skonstatowaniu wymiany ukłonów zaobserwował z ukrycia, że ów „jegość” wita się z Ięgą Korczyńską i oczekującą jej jak zwykle matką, po czym zabiera Ięgę do samochodu i jedzie z nią, ale nie w stronę jej domu. „Nie przyswoiła sobie moich wskazań” – twierdzi z twardym uporem na sali sądowej ten, który postanowił wymierzyć jej „za to” karę. – Wyciągnąłem rewolwer i strzeliłem – kończy.

– Wyciągnąłem rewolwer i strzeliłem? Tam były pewne szczegóły. Dlaczego oskarżony pomija okoliczności?

– Działo się to w szczególnych okolicznościach. Nie wiem, co robiła, kiedy czekałem na nią z myślą o pojednaniu – tego wieczoru spóźniła się, czego dotychczas nie było – wiem, że gdy przyszła, nie wyglądała na porządną dziewczynę z tym karminem niestartym z warg, zdyszana, w włosami w nieprzyzwoitym nieładzie, wiem natomiast przede wszystkim, że mnie zlekceważyła, odpowiadając na moje niecierpliwie, gorące, pełne troski pytania zimnym, sztucznym śmiechem i lekceważącym słowem. Ona mnie nazwała byle kim! Byle kim! Ona, nie ona, w tamtej chwili nieważne kto! Uznałem, że ktoś mnie spotwarza! A potem nagle jakieś odwrócenie punktu widzenia. „Ta osoba, do której miałem po prostu

publiczność, dyrekcja zaangażowała nowe artystki, ogłaszając to w prasie i na afiszach, pod zmodyfikowanym szyldem „Nowy Ananas”.

nabożeństwo pewnego rodzaju, ta osoba daje mi odpowiedź, która mi jakby nożem przesywa mózg!". Nie pamiętam, co się ze mną stało. Wyciągnąłem rewolwer i strzeliłem.

– Czy oskarżony otrzymywał jakieś pieniądze od Korczyńskiej?

Na pytanie przewodniczącego odpowiada, że o to samo pytał go sędzia śledczy, i serwuje bajeczkę o tym, że wprawdzie narzeczona płaciła, ale on jej oddawał co do grosza jeszcze tego samego dnia. Na pytanie, czy maltretował, odpowiada przecząco.

– Może oskarżony wyjaśni sądowi, co to było z tym pierścieniem?

– Pierścionek Iga otrzymała od swojego partnera tanecznego, niejakiego Ostrowskiego, w 1929 roku. To był pierścionek zaręczynowy. W tym samym roku zerwała z Ostrowskim, ponieważ brutalnie się z nią obchodził. Radziłem jej, żeby odesłała Ostrowskiemu ten pierścionek i, ma się rozumieć, listy. Otrzymałem od niej obietnicę, że to zrobi. Aliści w 1930 roku, gdy już byliśmy narzeczeństwem, ze zdumieniem spostrzegłem ten pierścionek na jej palcu. Wtedy już kategorycznie zażądałem, aby go odesłała. A gdy milczała i atmosfera zrobiła się przykra, spytałem: „A może nie zwracasz go dlatego, że stanowi dla ciebie wartość materialną?”. Potwierdzająco pokiwała głową i wtedy wręczyłem jej 60 złotych...

– Czy oskarżony groził Korczyńskiej zabiciem za wykonanie pewnego tańca w „Ananasie”?

– Nie groziłem. Były wprawdzie chwile, gdy mnie pytała, co bym zrobił, gdyby mnie porzuciła, a wtedy odpowiadałem: Zabiłbym cię... Ale to nie zapowiedź zabicia – kontekst był specyficzny. Miłosny.

Po przerwie obiadowej Drożyński odpowiada na pytania prokuratora Witolda Grabowskiego. W noc poprzedzającą zabójstwo nie nocował w domu, z nocnego lokalu wrócił do domu, po pobycie na plaży, o pół do szóstej po południu, a na kwadrans przed siódmą wieczór już wyczekał w kuluarach teatru „Ananas”. Dlaczego nosił przy sobie rewolwer? – Ponieważ obawiał się awantur ze strony apaszów,

którzy niekiedy ich zaczepiali, gdy odprowadzał Igę do domu na Sienną („ulica ta nie ma bowiem dobrej opinii”). A kiedy po raz pierwszy zobaczył człowieka, o którego stał się zazdrosny, pana Adamskiego, w towarzystwie panny Korczyńskiej? – Wkrótce po premierze nowego programu „Ananasa”, w połowie lipca. Więc już po rozstaniu. Czy chodził do domu Wielgusów (do mieszkania rodziców Korczyńskiej)? – Na początku narzeczeństwa prosił Igę o taką możliwość, ale wahała się, zapewne skrępowana warunkami życia w mieszkaniu, „ponieważ jej rodzina jest rzemieślnicza i uboga”.

Czy rozmawiał z matką Korczyńskiej? Tak, zaczepiała go na ulicy.

Czy wpadając do garderoby Korczyńskiej, miał rewolwer zabezpieczony, czy odbezpieczony? Nie jest sobie w stanie przypomnieć. Zazwyczaj nosił zabezpieczony, z kulą w lufie, ale wtedy, krytycznego wieczoru, widocznie musiał być odbezpieczony. „Ta chwila czasu przy odbezpieczeniu wystarczyłaby, bym się opamiętał”.

Prokurator: – „Przecież to była tancerka, kobieta, która m u s i mieć pewne znajomości, dlaczego więc zrobienie tej nowej znajomości przez nią wywarło na panu tak wstrząsające wrażenie? Czym pan wytłumaczy tutaj takie straszne uczucie zazdrości, które pociągnęło za sobą straty?”.

Oskarżony: – „Zrobił na mnie przygnębiające wrażenie fakt, że ta ostatnia znajomość była znajomością uliczną”.

Pytany o przebieg pracy odpowiada, że od lipca 1930 nigdzie nie pracował. Tylko przejściowo, podczas wyborów do Sejmu, był zatrudniony i wtedy zarobił dużo, bo 500 złotych. Pewne kwoty pieniężne – raz nawet 600 złotych – przesyłała mu jego siostra. Po co jeździł do Sopot? „Do kasyna. Żeby mieć wyobrażenie o grze”. Czy sam grywał? „Tak jest. Nie dopisywało mi jednak szczęście”.

Prokurator otrzymuje odpowiedź twierdzącą na pytanie skierowane do Drożyńskiego, czy 2 września 1928 przekonał się i stwierdził, że jest pierwszym mężczyzną w życiu niespełna siedemnastoletniej Igi Korczyńskiej. Pyta dalej:

– „Co pan robił w tym kierunku, żeby uczynić z Korczyńskiej damę z towarzystwa? Niech pan nam opowie, jak to było z tą akuszerką?”.

– „Panie prokuratorze, pan mnie obraża, to zestawienie jest brutalne! Nie chcę odpowiadać na to pytanie ze względu na jego formę”.

Prokurator prosi o zaprotokołowanie oświadczenia oskarżonego, po czym, nie robiąc przerwy, pyta go o powody zwłoki z urzeczywistnieniem zamiaru ożenku z Korczyńską. Zdenerwowany i wciąż jeszcze oburzony Drożyński milczy i wtedy przystępują do zadawania pytań adwokaci powodowi cywilni: Galersner i Drobniewski. Dowiadujemy się, że oskarżony pracował jeszcze krótko w Towarzystwie Obrony Przeciwigazowej... i był funkcjonariuszem w Urzędzie Śledczym. Na sali olbrzymie zainteresowanie – woźny wzywa do zachowania spokoju – gdy między oskarżonym a adwokatem Drobniewskim wywiązuje się dyskusja w związku z tematem drażliwym: ciąży siedemnastoletniej Korczyńskiej i szczegółów związanych ze spędzeniem płodu, unicestwieniem życia. Przecież to miało być ich dziecko.

Czy musieli się na to zdecydować? „Przecież wtedy – mówi adwokat Geltersner – dysponował pan pieniędzmi”. Drożyński macha ręką, mówiąc, że to były pozory, i dalejże znów swoje, jak na obrotowej scenie: „Dążeniem moim było, ażeby moja narzeczona przestała tańczyć”.

Ona ma przestać tańczyć, a on nie ma pieniędzy. To nie pierwszy taki kwiatek w próbach obrony tego „pozłacanego łobuza z bruku warszawskiego”<sup>4</sup>.

Obronca oskarżonego, mecenas Jan Nowodworski, dziekan Warszawskiej Rady Adwokackiej, otrzymuje odeń odpowiedzi twierdzące na pytania, czy w pamiętnym 1920 wstąpił na ochotnika do armii i czy powiadomił swoją rodzinę o zamiarze poślubienia Korczyńskiej. Oskarżony potwierdza także, że noc przed zabójstwem spędził w bliskiej plajty kawiarni

Marcinkiewicza, głównie przy stole bilardowym, i powiadamia, że nie zabrał narzeczonej złotej bransoletki, o czym jest mowa w akcie oskarżenia, lecz przeciwnie, dał ją jej (śmiech na sali). „Nie chcę, aby mnie źle zrozumiano – dodaje wodząc wzrokiem po publiczności – ale ojciec Korczyńskiej nosił w krawacie złotą szpilkę, którą mu swego czasu za pośrednictwem narzeczonej podarowałem”.

„– A pana ojciec był adwokatem, tak?

– Tak jest.

– Od kiedy stracił pan kontakt z ojcem?

– Od 1915, kiedy wyjechał do Rosji.

– A więc wychowywał się pan bez kierunku ojca?

– Tak jest”.

Po pytaniach zadawanych oskarżonemu przez jeszcze dwóch spośród czterech jego adwokatów, mecenas Aleksandra Margolisa i aplikanta Reszla, sąd zarządził odczytanie tych zeznań, złożonych przez oskarżonego przed sędzią śledczym, na które teraz, w obecności prokuratora, nie chciał odpowiadać. Przed sądem i na oczach rozgrzanej publiczności zeznają świadkowie.

Siostra oskarżonego, Alicja Drożyńska-Luttoff, wzięta dentystka w Lublinie: – Brat żywił do Korczyńskiej bardzo poważne uczucia. Próbowałam mu wybić z głowy ten związek, wciąż przypominałam, że jest sens podjęcia na nowo studiów prawniczych, które tak niefortunnie przerwał. Taaak... rany na twarzy i rękę, do dziś ma szramy. Zmuszona byłam pokryć kosztą jego pojedynku. Zachęcałam do wyjazdu, oczywiście na początek z moją pomocą finansową, i do zapisania się na Uniwersytet w Grenoble.

Dodatnio o Korczyńskiej wyrażają się ludzie z branży. Ostrowski, jej partner taneczny z kabaretu „Mignon”, który aż do pojawienia się Drożyńskiego miał wobec Igi poważne zamiary, a potem patrzył z przerażeniem i niesmakiem, co się dzieje z tą miłą dotąd i rozsądną dziewczyną pod wpływem Dro-

<sup>4</sup> Określenie z artykułu wstępnego w „Ilustrowanym Kurjerze Porannym” z 2 maja 1932. (Więcej o tej oryginalnej czołówce w dzienniku o największym nakładzie w II Rzeczypospolitej – w części drugiej Szlifbruka w „Ananasie”).

żyńskiego, nie mówiąc o zerwaniu ważnego i zapowiadanego w prasie przedstawienia w Łazienkach, kiedy wskutek następstw niesnasek z Drożyńskim Iga nie była w stanie wyjść na scenę. Dyrektor „Mignon”, Stanisław Woliński, znany piosenkarz, nie ukrywał dezaprobaty względem chorych stosunków łączących prześladowcę Drożyńskiego i jego ofiarę Korczyńską. Gdy matka Igi Korczyńskiej, zaniepokojona przechwytywaniem zarobków córki przez „narzeczonego”, zgłosiła się do dyrekcji z prośbą o możliwość otrzymywania poborów córki, spotkała się z odzewem Igi: – Proszę bardzo. Ale jeśli mama bierze pieniądze – to niech mama tańczy!

Trochę życia wniosły także zeznania autora sławnych przebojów, Walerego Jastrzębca-Rudnickiego<sup>5</sup>, dyrektora obecnego teatryku „Nowy Ananas”, w którym pod ówczesną nazwą „Ananas” do końca występowała zamordowana. – Początkowo – mówił – gwiazda znakomicie wywiązywała się z obowiązków, z biegiem czasu jednak zauważyłem u niej objawy niepokoju. Odbijało się to na występach. Miałem z nią szereg rozmów, z których dowiedziałem się o istnieniu Drożyńskiego. Wreszcie kiedyś wpadła do mojego gabinetu silnie wzburzona. Oświadczyła, że nie zatańczy. Mój Boże, a dlaczego? – Na widowni bowiem siedzi Drożyński, który grozi, że mnie zabije. – Wyjrzałem przez kurtynę, zobaczyłem twarz tego człowieka w trzecim rzędzie krzeseł, bez wyrzutów sumienia zbagatelizowałem obawy Korczyńskiej i bezwzględnie jej poleciłem wyjść na scenę. Niedługo potem przysłała silnie posiniaczona. Z garderoby doszły słuchy, że pobił ją Drożyński. Drożyński eksploatował Korczyńską. Brał od niej często pieniądze – nawet ostatnie, te, które miała zanieść krawcowej.

Następnego dnia przewodniczący trybunału polecił przenieść rozprawę do sali nr 2, większej, ale i to niewiele dało; woźni nie mogą się uporać z tłumem publiczności. Świadkowie ry-

sują niepochlebny portret Drożyńskiego. Niejako dla przeciwwagi jego adwokat, dziekan Jan Nowodworski, wnioskuje o powołanie na świadka studenta praw Zygmunta Kralińskiego. – „Świadek zgłosił się do mojej kancelarii, oświadczając, że znane mu są pewne okoliczności dotyczące stosunków osobistych i materialnych Korczyńskiej”. Adwokaci Margolis i zgłoszony jako czwarty już obrońca oskarżonego Mieczysław Goldsztajn składają wniosek o zażądanie przez sąd wyciągu z konta PKO Korczyńskiej oraz wyciągu z jej składek ubezpieczeniowych w Kasie Chorych. Prokurator sprzeciwia się wnioskowi obrony. Głos zabiera Drożyński, prosząc o zażądanie przez sąd tych wyciągów. Sąd uwzględni tylko dopuszczenie Kralińskiego w charakterze świadka.

Zaprzysiężona świadek Helena Betcherowa: – Poznałam Korczyńską w lutym 1931 podczas *tournée* po Polsce wraz z Ordonką. Na trasie ich występów student – tak go określała Iga – Drożyński miał przyjechać do Lublina. Nie przyjechał, dotknęło to ją i była zmartwiona. Wypytywana przeze mnie zwierzyła się, że go kocha, ale nie wytrzymuje jego szaleńczej zazdrości. Jest zmęczona tym wydzieraniem pierścionka z palca, podejrzliwością przemieszaną z sarkazmem, wymuszaniem obietnic. Sprawa była do tego stopnia poważna, że jako przyjaciółka radziłam jej wyjazd z Warszawy, może najlepiej od razu za granicę. „Wszędzie cię przyjmą! Do każdego teatru rewiowego! Z twoimi warunkami!”. Korczyńska, kochająca matkę, bardzo przywiązana do rodziny, w gruncie rzeczy utrzymująca cały dom, w ogóle nie brała pod uwagę takiej możliwości.

Betcherowa nie słyszała, by oskarżony znęcał się nad narzeczoną fizycznie, może natomiast z całą pewnością potwierdzić, że pożyczal od niej pieniądze na wieczne nieoddanie. „Drożyński – mówi – szalenie zapalczywy, aurą, jaką roztaczał, doprowadzał ją do bezsenności. W ostatnich tygodniach życia powtarzała, że się

<sup>5</sup> Walery Jastrzębiec-Rudnicki, autor m.in. sławnego przeboju *Szczęście trzeba rwać jak świeże wiśnie* (z muzyką Zygmunta Białostockiego), ukończył Wydział Prawa na Uniwersytecie w Kijowie i był w latach 1911–1919 adwokatem przysięgłym w Kijowie.

go boi, że nie sypia po nocach, bo ją nawiedzają zjawy!”.

Pytana przez prokuratora o szczegóły, zeznaje: – Od wiosny 1931 odczuwała lęk przed Drożyńskim do tego stopnia, że kiedy siedzieliśmy w „Italii”, Iga, spostrzegłszy Drożyńskiego, niepostrzeżenie uciekła. – Jakie były warunki finansowe w czasie wspomnianego *tournée* po Polsce? – Korczyńska zarabiała 30 złotych dziennie, plus przejazdy, wikt i hotele, tak, to dużo, w sumie w ciągu niecałego miesiąca ponad 700 złotych; wszystkie pieniądze odsyłała do domu.

Adwokat oskarżonego, dr Goldstein: – Czy Korczyńska była zalotna?

Świadek Betcherowa: – Nie zauważyłam. Zresztą w czasie objazdu nie było na to czasu.

Adwokat Goldstein: – Czy kochała?

Betcherowa: – Ona go kochała bezwzględnie.

Goldstein: – Jak ona to określała?

Betcherowa: – Mniej więcej w tym sensie: „Nieszczęśliwa jest nasza rodzina, matka szalenie kocha naszego ojca, choć jest pijak i ma kochanki”.

– Czy to miało oznaczać, że i Korczyńska kocha pijaka?

Betcherowa nie wie, jak odpowiedzieć na takie pytanie Goldsteina. Jeśli milczenie brzmi odpowiednio, starczy za odpowiedź aż nadto.

*Cdn.*